

Zdzicha poznałam w mojej pierwszej pracy, w krakowskim „Miastoprojekcie” w latach osiemdziesiątych XX wieku. Byłam wtedy zaraz po studiach, a Zdzich pracował w sąsiedniej pracowni, drzwi po drugiej stronie korytarza. Nie dzieliła nas duża różnica wieku – a ja, nowicjuszka trochę z początku przestraszona, znalazłam w Zdzichu starszego kolegę zawsze gotowego do pomocy, serdecznego i ciepłego. I tak już zostało do końca. Kiedy go przywołuję pamięcią, widzę zawsze przyjazny uśmiech i radość w jego oczach, ale równie często przypominam sobie to Zdzichowe zafrasowanie czyimiś problemami. Był prawdziwie współczującym człowiekiem, zawsze gotowym spieszyc z pomocą – dzisiaj, gdy każdy żyje raczej swoimi sprawami, to prawdziwa rzadkość.

Był architektem z krwi i kości, pasjonatem śledzącym, co dzieje się w światowej architekturze, jeżdżącym tu i tam, żeby zobaczyć jak najwięcej. Z tych wyjazdów zawsze przysyłał kartki. Ja już dawno zaniechałam takich gestów, kiedyś przecież tak powszechnych – komórka wyparła je i zastąpiła. Ale od Zdzicha kartki zawsze przychodziły – nawet pewnie nie podziękowałam za wszystkie...

Życzliwy i uśmiechnięty, zmieniał się w mgnieniu oka, opowiadając o walkach na każdej z budów, gdzie nadzorował swoje projekty. Projektował głównie inwestycje gminne, z przetargów: sportowe, szkolne, zawsze „budżetowe” i zawsze Zdzichowe projekty cierpiały z powodu niedoborów finansowych oraz decydentów, którzy wiedzą lepiej, lub braku fachowości wykonawców. Dużo go kosztowało wyklócanie się o formę, detal – angażował się całym sobą i opowiadając te historie nie potrafił opanować emocji. Odreagowywał grą na pianinie, rysunkami pejzaży.

Pomimo pandemii spotkaliśmy się letnim, zeszłorocznym czasem, w okolicy moich imienin – dostałam piękną, oprawioną już pastelę. Nie wiedzieliśmy wtedy, że to na pożegnanie...

Marta Bruzda